NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 148·20 Marek, Półrocznie 296·40 Mk. Rocznie 592·80 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 3 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 4·—, za wiersz nonparsilowy, jednoszpaltowy 6 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 15 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 12 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 8. stycznia 1921. Nr 2.

Zmierzch Republiki fiumańskiej



Walki uliczne między rządowemi wojskami włoskiemi a legionistami D'Annunzia w Rjece.

Premier bułgarski w Krakowie.

Dziś, kiedy tylko interes stawia każdy stale na pierwszem miejscu, w żadne czułości się nie bawiąc, wywołują uśmiech na usta wzmianki, jakie czytamy z okazyi bliższego zetknięcia się dwu narodów o „wiekowej przyjaźni, jaka je łączy i daje gwarancyę dalszego zgodnego ich współżycia i rozwoju“...

To są oklepane, czcze frazesy, pozbawione cienia prawdy, a podyktowane jedynie polityczną grzecznością. Dziś jeden naród pyta drugi:

„Czego i ile mogę się od ciebie spodziewać?... Czego żądasz wzamian?...“

To też Polska, witając dziś u siebie prezydenta gabinetu bułgarskiego, Stambulijskiego, zastanawia się przedewszystkiem nad tem, jaką może mieć korzyść ze zbliżenia się do tego państwa.

Odpowiedź na to pytanie dał premier bułgarski w Krakowie, zainterpelowany przez red. Konopińskiego w tym kierunku. Bułgarya może nam dostarczyć zboża, tytoniu i skór, potrzebuje zaś wzamian soli, nafty, smarów, oleju, węgli... Drogą zamiany tych produktów mogą oba państwa ułatwić sobie egzystencyę.

Prezydent bułgarskiego gabinetu bawił w Krakowie w przejeździe z Zachodu do Warszawy w dniu 28 grudnia z. r. Zwiedziwszy osobliwości Krakowa przyjął w południe w prezydyum miasta przedstawicieli krakowskiej prasy, wziął udział w obiedzie, wydanym na jego cześć przez starostę Kowalikowskiego, poczem po przyjęciu u prezydenta Federowicza, późnym wieczorem odjechał do Warszawy.

Z chwilą, gdy zbankrutowała idea „małej ententy“, zbliżenie się Polski i Bułgaryi uważać należy za nader pożądane, witamy też serdecznie bułgarskiego gościa na naszej ziemi!

Oprócz Krakowa zwiedził bułgarski premier Lwów, Zakopane, Drohobycz, Borysław, Wieliczkę, które na nim wywarły bardzo głębokie wrażenie. Na każdym kroku spotykał się z bardzo sympatycznem przyjęciem ze strony ludności, pobyt też w granicach Polski, jak sam zapewnia, w miłej zachowa pamięci.

W Warszawie, gdzie zatrzymał się najdłużej, odbył szereg konferencyi z najwybitniejszymi mężami stanu i wziął udział w szeregu przyjęć między innemi, w śniadaniu wydanem na jego cześć przez Naczelnika Piłsudskiego w Belwederze. Przyjmując deputacyę młodzieży polskiej, która wyraziła zamiar urządzenia w najbliższym czasie wiecu wszechsłowiańskiej młodzieży, zapewnił ją o gorącem poparciu tego przedsięwzięcia przez niego i rząd bułgarski, uznający, że młodzież słowiańska powołana jest do odegrania bardzo ważnej roli przy obecnym kształtowaniu się stosunków politycznych.

Prasa bułgarska, omawiając pobyt prezydenta Stambulińskiego w Polsce, podnosi z uznaniem serdeczne przyjęcie, z jakiem się spotkał i wyraża nadzieję, że stosunki między Polską a Bułgaryą, nawiązane w ostatnich czasach, zespolą jeszcze silniej ze sobą oba bratnie narody.



Premier bułgarski Stambulijski w Polsce: Delegat Kowalikowski oprowadza premiera Stambulijskiego po Zamku królewskim.

Laureat Nobla.

W r. 1859, w ubogiej chacie chłopskiej w Nordlandzie, przyszło na świat dziecko, któremu sądzone było zyskać kiedyś najświetniejsze imię wśród pisarzów współczesnej Norwegii.

Knut Hamsun, laureat tegoroczny nagrody Nobla, pierwsze swe lata spędził w obliczu bajecznych krajobrazów, w bezpośredniej styczności z wspaniałą przyrodą, która w sposób stanowczy wpłynęła na jego uczuciowość. Był on jednak nazbyt ciekaw rzeczy i ludzi, aby się zadowolnić uprawą swego ogrodu w rodzinnej wiosce. Żywot jego, przynajmniej w pierwszej swej połowie, był wielce urozmaicony i awanturniczy. Zrazu Hamsun ima się



Premier bułgarski w Polsce: Premier Stambulijski po zwiedzeniu Katedry wawelskiej.

handlu wiejskiego, później pracuje jako robotnik ziemny, jednocześnie w każdej wolnej chwili kształcąc się forsownie. Czyta bardzo wiele i nawet przygotowuje się do egzaminu, odpowiadającego naszej maturze. Rezygnuje jednak z otrzymania tego dyplomu i bardzo niepewnie, debiutuje w drobnem dziennikarstwie. Odnajdujemy go następnie w preryach amerykańskich i, nieco później, w Chicago, gdzie jest konduktorem tramwajowym. Tu znajduje sposobność obserwowania sporej ilości ciekawych okazów rodzaju ludzkiego. Przygląda się i notuje skrzętnie. Nie zapomni z nich żadnego i w książkach jego odnajdujemy potem najbardziej charakterystyczne z owych typów.

Niebawem zaczyna pisać. Pisze dużo, natchniony przez cierpienie i nędzę swej młodości. Ma trzydzieści lat. Nie wszystko zachwyciło go w nowym świecie. Pierwsza jego książka: „Życie intelektualne Ameryki współczesnej", jest zjadliwą satyrą, dotyczącą zbyt pośpiesznej cywilizacyi kraju, w którym przyszło mu być tak skromnym gościem.

W następnym roku 1891 Knut Hamsun ogłasza swego rodzaju arcydzieło bolesnej autobiografii, w którem opowiada o swem życiu pełnem marzeń i nedzy. Jest to słynny jego „Głód".

Lecz ten cierpki ironista, ten pisarz przedwcześnie dojrzały doświadczeniem świata i ludzi, nosi w sercu wszystką poezyę swoich norwegskich wiosek, których stare legendy wciąż snują się po jego wyobraźni, i oto następny swój utwór p. t. „Pan" poświęca krajowi ojczystemu.

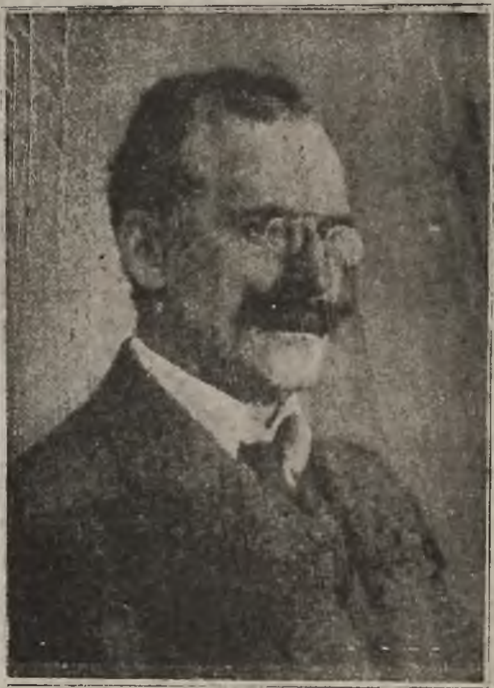
Potem ukazują się „Blaski zachodnie", „Mnich Vendt", „W krainie baśni", „Królowa Tamara" i „Radość ostatnia" (świeżo przyswojona naszej literaturze przez piękny przekład Leopolda Staffa). Z ostatnich dzieł Hamsuna jedne wyrażają cichą melancholię poety, patrzącego w jesień swego żywota inne ponownie zwracają się ku ziemi ojczystej, opiewając jej krasę; są to przedziwnie wzniosłe w swej prostocie georgiki norwegskie.

Dzieło literackie byłego handlarza wiejskiego, biednego dziennikarzyny bez imienia i bez czytelników, emigranta, walczącego z nędzą powszednią, jest dzisiaj tłómaczone na wszystkie języki. Sam autor zaś dał przykład głoszonego przezeń powrotu do ziemi i natury i przebywa stale na wsi, wiodąc żywot cichy i odosobniony.

Z dzieł jego, oprócz rozgłośnego „Głodu" i „Radości ostatniej", przetłómaczono na nasz język „Wiktoryę".



Premier Stambulijski w Polsce: Premier Stambulijski w Zakopanem w towarzystwie prezydenta Witosa i wiceprezydenta Daszynskiego. (Fot. M. Fuks Warszawa).



Laureat Nobla: Knut Hamsun, odznaczony nagrodą z zakresu literatury.

Zmierzch republiki fiumańskiej.

(Do illustracyi tytułowej).

Wielcy poeci i artyści, to, jak się okazuje, ludzie nie nadający się zupełnie do prowadzenia polityki, która wymaga zimnej krwi i oparcia na rzeczywistości, a nie kierowanie się fantazyą, choćby nawet o najszlachetniejszych motywach. Każdy fałszywy krok może tu i musi mieć nieobliczalne nieraz następstwa, z których idealista, a takim jest poeta, nawet sobie sprawy nie zdaje i nie oblicza wywołanych zeń konsekwencyi.

Takiem politycznem *enfant terrible* jest dla Włoch Gabryel d'Annunzio, patryota i wielki poeta, lecz polityk bardzo nieobliczalny, który bardzo łatwo mógł wplątać swą ojczyznę w nową wojnę z Jugosławią tym razem, ewentualnie zaś doprowadzić do wybuchu rewolucyi w kraju tak już znękanym wypadkami wojennymi i ich następstwami. A to chyba nie leżało w jego planie... Jego dążeniem było, aby ojczyzna stała się wielką i potężną, ale ku temu celowi obrał fałszywą drogę i to na własną swą odpowiedzialność, nie licząc się z resztą ogółu.

Dzieło jego, republika fiumańska, której był pierwszym, ale zarazem i ostatnim prezydentem, mogła była bardzo łatwo stać się powodem nowej zawieruchy na południu Europy. Nacyonaliści włoscy, do których d'Annunzio się zalicza, zbyt daleko posunęli swą zaborczą politykę, nie licząc się zupełnie z postanowieniami mocarstw koalicyjnych i intencyami rządu włoskiego, nie pragnącego bynajmniej nowej wojny.

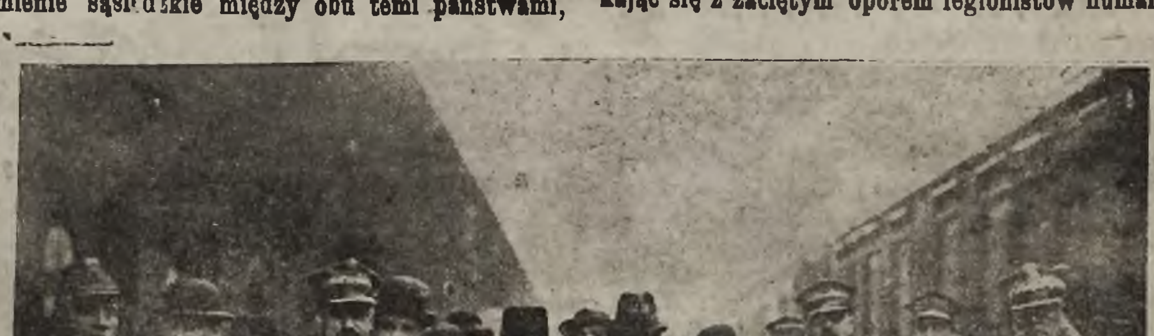
Traktat pokojowy, zawarty niedawno między Włochami a Jugosławią w Rapallo, usunął nieporozumienie sąsiedzkie między obu temi państwami, nad jego postanowieniami przeszedł przecież d'Annunzio do porządku dziennego i na wschodniem wybrzeżu Adryatyku prowadził dalej zaborczą politykę, z którą nie mogła się zgodzić południowa Słowiańszczyzna. Rząd belgradzki protestował też w Rzymie, skąd wzywano niejednokrotnie d'Annunzia do zaprzestania dalszych kroków, lecz bezskutecznie. Doszło do tego, że Jugosławia zagroziła, iż postanowienia traktatu w Rapallo będzie zmuszoną przeprowadzić przy użyciu siły zbrojnej.

W cichości może i popierał rząd włoski dążenia zaborcze prezydenta nowej republiki, oficyalnie przecież nie mógł się na nie zgodzić, zwłaszcza, że wprowadzało to dezorganizacyę w szeregach armii i floty włoskiej, z których wiele jednostek odmówiło posłuszeństwa i połączyło się z d'Annunziem.

I to dało powód do wybuchu małej wojny domowej między państwem włoskiem a republiką fiumeńską. Rząd włoski, chcąc zmusić opornych do posłuszeństwa, wysłał przeciw nim flotę i armię, żądając opróżnienia zajętych nieprawnie terytoryów i rozpuszczenia armii, zapewniając wszystkim amnestyę.

Na to d'Annunzio się nie zgodził i rozpoczął przygotowania do obrony, nie licząc się z tem, że Rjeka, nie mając zapasów żywności, długiego oblężenia nie wytrzyma.

Dowódca wojsk rządowych, jenerał Caviglia, przystąpił energicznie. ale i z wyrozumiałością, do wykonania zadania. Rozpoczęła się walka, o ile możności bez użycia armat, aby miasto jak najmniej szkód poniosło. Zdobywano piędź ziemi po piędzi, spotykając się z zaciętym oporem legionistów fiumańskich.



Premier bułgarski w Polsce: Powitanie premiera Stambulijskiego na dworcu wiedeńskim w Warszawie. Od lewej ku prawej stoją: minister wojny jen. Sosnkowski, br. Przeździecki, premier Stambulijski, polski minister pełnomocny w Zofii, Dr Grabowski, bułgarski charge d'affaires Madziarow, bułgarski minister Kisinoff, jenerałowie Iwaszkiewicz i Zawadzki. (Fot M. Fuks, Warszawa).



Po ostatecznej likwidacyi sprawy krymskiej: Jenerał Wrangel po raz ostatni schodzi po schodach portowych w Sebastopolu, aby się udać na okręt

Nie obeszło się zatem i bez strat w ludziach. Z obu stron padło kilkudziesięciu zabitych, liczba rannych dochodzi kilkuset.

D'Annunzio, który traktat w Rapallo nazwał skandalem i zbrodnią przeciw narodowi włoskiemu, powitał czynniki rządowe w sposób operetkowy, rozrzucając z europlanu kartki z napisem: D'Annunzio wita swych katów".

Gdy sytuacya była już bez wyjścia, złożył D'Annunzio rządy swe w ręce prezydenta ministrów, sam miał zamiar opuścić Rjekę na samolocie. Wiadomość o jego śmierci od pocisku z okrętu wojennego Andrea Doria nie sprawdziła się. Skończyło się na lekkiem potłuczeniu przez spadający gzymsu jego rezydencyi.

W piątek, dnia 31 grudnia 1920, wojska rządowe opanowały Rjekę w zupełności, a jenerał Caviglio podpisał rozejm z prezydentem miasta, które samodzielnością długo się nie cieszyło.

D'Annunzio, który oświadczył, po głębokiej zapewne rozwadze, „że dla Włoch umierać nie warto"... ma według jednych osiąść w Rzymie, według drugich na Rivierze, ewentualnie powrócić na stały pobyt do Paryża.

Krótkie, ale głośne było jego panowanie i łatwo stać się może bardzo wdzięcznym tematem... operetki.

Po ostatecznej likwidacyi sprawy krymskiej.

Porażka jenerała Wrangla i tryumf armii czerwonej na południowym froncie, należą już do przeszłości, tem smutniejszej, że nie była ona spodziewaną, a przynajmniej tak rychło.

Wierzyliśmy w poparcie jego przedsięwzięcia przez Francyę, było ono jednak, jak się teraz pokazuje, zbyt słabe, czyli, jak to obecnie jest w modzie, więcej moralne niż materyalne. Pomimo dzielności swej armii i sympatyi ze strony ludności miejscowej, musiał jenerał Wrangel ustąpić wobec liczebnej przewagi nieprzyjaciela. Jego pięć dywizyi, choć ożywionych najlepszym duchem, nie mogło stawić czoła dwudziestu pięciu bolszewickim, zaopatrzonym obficie w materyał wojenny, którego sowieckiej Rosyi nie żałuje zwłaszcza Anglia, nie uznająca wprawdzie dotąd komunistycznego rządu, bardzo natomiast czuła na dźwięk sowieckiego złota.

Dziś dopiero nadchodzą z Krymu pewniejsze wiadomości o ustąpieniu Wrangla i ilustracye, przedstawiające sceny z ostatnich chwil jego pobytu na ojczystej ziemi, którą musiał opuścić, nie chcąc doprowadzić do niepotrzebnego krwi bratniej rozlewu.



Po ostatecznej likwidacyi sprawy krymskiej: Żołnierze armii Wrangla po przybyciu do Konstantynopola lądują na wybrzeżu Sirkidji.

Ewakuacya Krymu odbyła się w zupełnym porządku i bez nadzwyczajnego pośpiechu. Widząc, że nie zdoła się oprzeć przewadze, rozwiązał jen. Wrangel swą armię, usunął też lub zniszczył nagromadzony materyał wojenny, aby nie wpadł w ręce bolszewików. Udało mu się to prawie w zupełności. Członkowie jego armii, rząd południowo-rosyjski i wielka liczba cywilnej ludności Krymu schroniła się na okręty francuskie i rosyjskiej floty czarnomorskiej, na których odpłynęła do Konstantynopola. Ogółem opuściło Krym ponad sto tysięcy osób, w tem ośmdziesiąt tysięcy żołnierzy.

W Konstantynopolu osiadł chwilowo jen. Wrangel wraz ze swym nowym rządem, oraz ludność cywilna, wśród której szerzy się głód i nędza, żołnierzy postanowiono przewieść na wyspę Lemnos i do Algieru.

Z chwilą ustąpienia jen. Wrangla i wkroczenia na Krym armii czerwonej, rozpoczęły się dla tego nieszczęśliwego kraju dni „bolszewickiego raju". Sądy wojenne i czrezwyczajka rozpoczęły swą działalność, dziennie wykonując po kilkaset wyroków śmierci. Dziś oświadcza Trocki z zadowoleniem, że na południu panuje już zupełny spokój i porządek, co mu umożliwia grupowanie wojsk na północy. Jaki jest właściwy cel tego przegrupowania, to dopiero przyszłość pokaże. Być może, rozchodzi się tu o przygotowanie do nowej ofenzywy wiosennej przeciw Polsce i państwom bałtyckiem, nie jest jest jednak wykluczonem, że będzie to „przyjacielska demonstracya militarna" na rzecz Niemiec, aby im ułatwić „sprawiedliwe i uczciwe" przeprowadzenie plebiscytu na Górnym Śląsku.

Dziś, gdy sprawa krymska została już ostatecznie zlikwidowaną na korzyść rządu sowieckiego, polityka wschodnia państw koalicyjnych przedstawia się w dziwnem świetle. Gabinety europejskie występują rzekomo przeciw rządom Lenina i Trockiego, w gruncie rzeczy popierają zaś ich cele, jeśli nie bezpośrednio, przez udzielenie Rosyi pomocy, to bodaj pośrednio, nie popierając wysiłków, skierowanych ku złamaniu czerwonego terroru, a nawet wprost je paraliżując. Ofiarą ich padł Wrangel, inni mają natomiast uzasadnione zarzuty, że powodem jego klęski było zawarcie przez Polskę rozejmu z Rosyą. Polska mając nóż na gardle, inaczej postąpić nie zmogła.







Po ostatecznej likwidacyi sprawy krymskiej:
Hotel Kirst, rezydencya jen. Wrangla w czasie pobytu w Sebastopolu. Rosyjska flota czarnomorska w porcie sebastopolskim. Grupa ewakuowanych, czekających na wyjazd w porcie sebastopolskim.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

25 I.

A tak przekonywająco twierdziły, że znają hrabiego Lambertini'ego. Może to jakaś awanturka miłosna! Dziewczyna ładna była i sympatyczna. Stary portyer szczerze przywiązany był do swojego pana, którego znał jeszcze z dziecinnych lat, nie chciał więc zasłużyć na jego naganę.

Spojrzał raz jeszcze na Rachelę z życzliwością i skierował się do swej loży. Powrócił po chwili, niosąc dwa krzesła.

— Usiądźcie tu — wyrzekł uprzejmie. — Jesteście zmęczone.

Róża podziękowała mu gorąco.

— Hrabia spóźnia się jakoś? — rzuciła po chwili, rozsiadłszy się wygodnie.

— On często późno powraca — odparł portyer.

— Tak późno jak dzisiaj?

— Ej, nie, nie tak późno... sam jestem zdziwiony tem opóźnieniem.

Ciężkie westchnienie wybiegło z ust Racheli.

— Ot co — dodał po przerwie portyer — tak, jak młody... zabawi się...

— Hrabia jest bardzo dobrym człowiekiem — rzuciła żywo Róża.

— Ho! ho! to perła, moja pani. Ale wiadomo, w jego wieku o sposobność nie trudno... lecz umilkł nagle, widząc, że Rachela z pobladłą, zmienioną twarzą, patrzy na niego szeroko otwartemi oczami.

Zaległo chwilowe milczenie. Dzień szarzał już.

— A może wyjechał — podjął znowu portyer.

— Czy miał gdzie wyjechać? — zapytała Róża niespokojnie.

— Tak; zdaje mi się, że nawet kazał już zapakować swoje kufry. Ale mógł także wyjechać bez bagaży, i każe je sobie później posłać.

— Zobaczycie panie portyerze, że hrabia nie wyjechał — uśmiechnęła się Róża.

— Oh! Boże! — westchnęła nagle Rachela — już dzień się robi.

Podczas tej rozmowy brama była zamknięta. Nagle rozległy się dwa silne uderzenia.

Oh! to hrabia! — zawołał portyer, chowając pospiesznie fajkę do kieszeni.

— Tak! to on! — krzyknęła Rachela, blednąc jeszcze silniej.

Lecz nie był to Ranieri Lambertini, tylko służący w liberyi z żółtemi obwódkami.

— Hrabia Ludwik Lambertini? — zapytał.

— Jest u siebie, ale godzina jest zawczesna do widzenia się z nim — odparł portyer, obrzucając go podejrzliwem spojrzeniem.

— To ważna sprawa, mam list do doręczenia.

— Od kogo ten list?

— Od kobiety... od damy — odparł służący niechętnie. Ale zaręczam wam, że sprawa jest ważna.

— W takim razie pójdę na górę z wami — oznajmił portyer.

Kobiety pozostały same, niespokojne, drżące, nie śmiejąc się odezwać. Patrzały tylko na siebie przerażone, odrętwiałe ze wzruszenia. Czuły, że stało się coś ważnego. Wiedziały, że hrabia Ludwik Lambertini był wujem Ranieri'ego, jedynym krewnym, który mu pozostał, a ten wuj bardzo kochał swojego siostrzeńca. Otóż ten list tak pilny i tak ważny, oddany o tej porze po nocy przez młodego człowieka, spędzonej poza domem, mógł zawierać wiadomości poważne. Cóż on mógł zawierać?

Rachela Kabib, siedząc jak żebraczka, opuszczona w bramie domu, dręczyć się teraz zaczęła złemi przeczuciami.

Nareszcie, po dłuższej chwili służący w liberyi zeszedł ze schodów. Przeszedł szybko obok obydwóch kobiet, nie zatrzymując się, tak, że nie mogły mu zadać żadnego pytania. Przerażenie ich zmogło się jeszcze więcej.

Po jakimś czasie dobiegł je trzask otwieranych drzwi na piętrze, ktoś schodził ze schodów. Był to mężczyzna jeszcze nie bardzo stary, ubrany czarno, mający wygląd bardzo poważny i sympatyczny. Na twarzy jego widoczne było pomieszanie, krok jego był chwiejny. Obok niego szedł portyer, również pomięszany i niespokojny. Przeszli obok Racheli i Róży, nie zwróciwszy na nie uwagi, nie zauważywszy może nawet ich obecności. Przez chwilę stali nieruchomi w progu bramy, w końcu portyer zagwizdał przeciągle, by sprowadzić dorożkę, stojącą na Placu Barberini.

— Stało się jakieś nieszczęście Ranieriemu — szepnęła Rachela do Róży.

Chciała powstać, ale stara służąca zatrzymała ją za rękę:

— Panienko! proszę się nie ruszać z miejsca.

Wuj Ranieri'ego wsiadł do powozu, rzucając



— Po co? moje dziecko — odparł portyer ze łzami w oczach. Ci bandyci zadali mu cios śmiertelny.

jakiś adres sztangretowi. Portyer zaś chwilę patrzał za oddalającym się powozem, poczem powoli powrócił do bramy.

— Możecie odejść już — rzekł smutnym głosem, patrząc na Rachelę, nie doczekacie się dzisiaj hrabiego!

— Dlaczego? — zapytała Róża żywo.

— Hrabia nie powróci dzisiaj do domu, tak, nie powróci — powtórzył, potrząsając głową.

— Nie powróci? Wyjechał?

— Nie, nie wyjechał! Ot, lepiej by było dla niego, gdyby był wyjechał. Biedaczek! Spotkało go nieszczęście! wielkie nieszczęście!

— Boże mój! — krzyknęła Róża.

Rachela blada i zimna jak głaz stała nieruchoma, nie mogąc słowa przemówić.

— Napadli go... nędznicy jacyś... dostał uderzenie sztyletem w bok...

— Zabity? — wyszeptała z trudem Roża.

— Prawie...

— Gdzie on jest? Gdzie on jest? — zawołała nagle Rachela rozdzierającym głosem. — Ja muszę go widzieć, muszę!

— Na miłość boską, panienko!

— Gdzie on jest, panie portyerze, gdzie on jest! Błagam was powiedzcie! Chcę go jeszcze zobaczyć przed śmiercią.

Pochwyciła ręce portyera, patrząc mu w oczy nieprzytomnym spojrzeniem.

— Poco? moje dziecko? — odparł portyer ze łzami w oczach. Ci bandyci zadali mu cios śmiertelny.

— Ah! to Markus Henner! to Markus Henner! — krzyknęła jak szalona Rachela. On jest jego mordercą! Przez litość powiedzcie mi, gdzie jest?

— Hrabia został raniony przed drzwiami hrabiny Mary Loredana.

— Chodźmy tam! — wyrzekła stanowczo Rachela, nie zwróciwszy uwagę na to imię.

— Gdzież ty chcesz iść? gdzie? — obruszył się portyer. — Podobno hrabia został raniony z powodu kobiety, przenieśli go do hrabiny, bo stracił zupełnie przytomność. Tam to udał się wuj hrabiego, Ludwik Lambertini!

— Chodźmy! — powtórzyła z przejęciem Rachela.

— A jeżeli on znajduje się w mieszkaniu swojej kochanki? Mówię ci przecież, moje dziecko, on przez nią został napadnięty! Morderca jest jego rywalem!

— Co? co?

— Tak, tak — potrząsnął smutnie głową portyer. — Nazywa się Robert Alimena. Policya zaaresztowała go już.

Rachela jęknęła głośno. W oczach jej, szeroko rozwartych, przebiegł błysk szaleństwa.

Na Famizie.

Gęsty, zimny deszcz spływał bezustannemi strugami nad Londynem w ten ponury dzień grudniowy.

Napróżno dym buchający z rozlicznych kominów, usiłował wzbić się w powietrze, walcząc zawzięcie z tym potopem, spadającym z gęstych, czarnych chmur, wiszących nad miastem.

Jednakże pomimo deszczu w tłumnych dzielnicach Londynu, ruch po ulicach był jak zawsze ożywiony. Ze wszystkich stron nadpływały powozy i przechodnie, tysiące wozów tramwajowych uwijało się biegnąc w różnych kierunkach. Najwięcej ożywiony ruch dawał się zauważyć w części śródmieścia, w City, gdzie nikt nie zdawał się troszczyć o stan pogody i na brzegach Famizy, zabudowanych fabrykami, składami różnymi i szopami.

W dole płynęła rzeka, tocząc się groźnie, niosąc na grzbietach fal czarnych rozliczne odpadki węgla, drzewa, nieczystości, rzucanych tu codziennie przez przeszło trzech milionową ludność miasta.

Była godzina czwartą. W pewnej chwili dwóch rybaków przewoźników, stróżujących przy moście Westminster, ujrzało nagle, jak przedmiot jakiś czarny zakołysał się nad ciężką poręczą mostu, by prawie natychmiast upaść z głuchem pluśnięciem w zburzone wody rzeki.

Przewoźnicy byli zanadto przyzwyczajeni do podobnych wypadków, by i ten fakt przeraził ich i zdumiał, bez nadzwyczajnego więc pośpiechu skierowali łódki w stronę tonącego. Nurek, który czuwał zawsze razem z nimi, skoczył natychmiast do wody z nadzwyczajną zręcznością i wypłynął po krótkiej chwili, ciągnąc za sobą człowieka, czepiającego się jego rąk z rozpaczliwą siłą istoty umierającej, pragnącej jeszcze życia.

Był to człowiek młody jeszcze i silny, lecz twarz jego blada, zniszczona, zdradzała ciężkie przeżycie fizyczne i moralne. Ubrany był czysto, lecz ubranie jego wytarte i skromne, wskazywało, że jest robotnikiem, który popadł w niespodziewaną nędzę i bezrobocie.

Kiedy rybacy ułożyli go na dnie łódki, nie dawał żadnych oznak życia. Starali się więc powrócić mu przytomność umysłu nacieraniem ciała, potrząsaniem, w końcu siłą wlali mu do ust kilka kropel wódki z manierki, którą jeden miał przy sobie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

28 I.

— Tak! tak! Do „Czarnego Kota"! Do „Czarnego Kota"! — zawołali wszyscy, powstając z hałasem z miejsca. — Doskonałe zakończenie wieczoru!

Zaczęto gorączkowo ubierać się i wychodzić, nie troszcząc się o zapłacenie rachunku, który przypadł w udziale Gawlikowi, do którego przystąpił czuwający przy drzwiach płatniczy. Gawlik, nie patrząc nawet na sumę, podkreśloną na końcu rachunku, wyjął z grubo wypchanego portfelu potężną garść banknotów i niedbałym, pospiesznym ruchem rzucił je zgiętemu wpół kelnerowi.

Napróżno wieczoru tego rutynowani artyści „Czarnego Kota" dowcip swój i werwę sceniczną sypali hojnemi racami z estrady, mającej już dobrą i pewną opinię wyrobioną pośród stałych bywalców i mecenasów sztuki Warszawy — nie potrafili oni jednak zainteresować silniej Gawlika, tonącego w półprzytomnem rozmarzeniu.

Niekiedy tylko, kiedy jakiś bardziej drażniący nerwy motyw muzyczny w dyskretnych tonach rozbrzmiewał po sali, wypełnionej wytworną i mniej wytworną publicznością, oczy jego rozjaśniały się gorączkowo i pochylony ku ramieniu siedzącej obok niego pani Izy, rozdętemi nozdrzami wchłaniał zapach silnych perfum, bijących z jej ciała, patrząc łakomie na białą jej szyję, wyłaniającą się z czarnej gazy i fal delikatnych koronek. To, co działo się na estradzie, nie obchodziło go. Nie zwracał też uwagi na salę, tonącą w miłem podnieceniu, po której rozchodził się monotonny szmer przyciszonych głosów i śmiechów, ani na wspólników swoich, o których zdawał się zupełnie zapomnieć, nieczuły był nawet na wcale niedwuznaczne ataki rudowłosej Meli, siedzącej po drugiej jego stronie.

Wrażenie, jakie nim owładnęło, było tak nowem i nęcącem, że poddał mu się zupełnie, zatracając całkiem świadomość rzeczy realnych i dalszych.

Było mu dobrze, w głowie czuł wcale sympatyczny zawrót głowy od fali krwi napływającej mu do mózgu ze świeżą i nową energią, po całem jego ciele przepływały młodzieńczo-elektryzujące prądy, a po głowie snuły się jakieś majaczenia senne, wprowadzające go w świat całkiem dla niego nieznany i czarujący.

Bo czyż mógł kiedykolwiek przypuszczać, on, Gawlik, nędzny fryzyerczyna z ulicy Felicyanek w Krakowie, dla którego zagranie w niedzielę w partyjkę bilarda było prawie zakazanym owocem, że siedzieć będzie w wytwornej, eleganckiej sali, w nowym, bardzo drogim garniturze, przy boku ślicznie ubranej, ładnej kobiety, tak nie podobnej do własnej jego żony i uśmiechającej się do niego kusząco powłóczystem spojrzeniem, czarnych, przepaścistych oczu. I do tego jeszcze wszystkiego dzieje się to w Warszawie, znanej mu dotąd jedynie z fantastycznych opowieści, w Warszawie, do której przyjechał pierwszą klasą, pospiesznym pociągiem, z portfelem wypełnionym aż po brzegi, jak poważny, solidny kupiec, operujący krociowymi interesami. Było też od czego głowę stracić zupełnie!

Stracił ją też Gawlik tak doszczętnie, że nie pamiętał chwili, w której opuścił z całem swojem towarzystwem salę „Czarnego Kota", ani też tego, co się później z nim działo.

Kiedy na drugi dzień, późno bardzo obudził się, w głowie huczało mu jak w młynie. Długą chwilę nie mógł się zoryentować, gdzie jest i co się z nim dzieje. Spojrzał na zegarek. Wskazywał piątą godzinę.

— Chyba go nie nakręciłem wczoraj — mruknął, przecierając napuchnięte oczy. — Ale co to było wczoraj właściwie, co?

Dosyć długi czas walczył z lenistwem myśli, funkcyonujących dziwnie ciężko i niesprawnie.

— Aha! — przypomniał sobie w końcu. — Pani Iza! „Czarny Kot"! Ah! niech wszyscy dyabli biorą! Zdaje mi się, że się urznąłem w porządku! Co sobie te kobiety o mnie pomyślą! Ładnie się im zaprezentowałem! I to takie kobiety jeszcze! Ta pani pani Iza ze swojemi oczami umarłego by wskrzesiła! Musieli mnie chyba odprowadzić i rozebrać, bo, wal w łeb, nie wiem wcale, jak się tu dostałem!

Dźwignął się ciężko na łóżku i zadzwonił. Wszedł służący hotelowy.

— Proszę mi zaraz podać śniadanie — rozkazał Gawlik.

— Śniadanie — uśmiechnął się dyskretnie służący. — Przecież to już piąta godzina. — Pan dobrodziej pewnie sobie życzy podwieczorku!

— Podwieczorku! Więc to już wieczór! A tom



Sięgnął po portfel i nagle zachwiał się na nogach, jak gdyby miał upaść.

zaspał! Ładna historya! — zawołał ze zdumieniem Gawlik, otrzeźwiony już zupełnie. — Nie pytał się kto o mnie?

— Dotąd nikt, proszę pana dobrodzieja. Czy mam przynieść kawę?

— Ano pewnie, bom dyabelnie głodny!

— Gdzie się ja teraz z nimi spotkam — niepokoił się po odejściu służącego. — Dziś przecie mieliśmy ten interes załatwić. A może przyjdą tutaj? Dobrzeby było nie wychodzić. Sami pewnie zmęczeni, to i śpią jeszcze. Poczekam do ósmej, a potem do „Viktoryi" każę się zawieść. Dobrze, że pamiętam, jak się restauracya nazywa.

Po wypiciu kawy, Gawlik zdrzemnął się jeszcze trochę, a kiedy już zmierzchać się zaczęło, zabrał się do swojej tualety. Podczas tej czynności co chwila patrzał na zegarek, niezadowolony z opóźnienia się wspólników.

— Coś ich zajść musiało — pocieszał się jeszcze. — A może ten pan Herman niedobrze się czuje po wczorajszej libacyi. Szkoda, że nie wiem, gdzie mieszka. Gdyby choć pani Iza chciała zajrzeć do mnie — westchnął ciężko na wspomnienie zachęcającego uśmiechu pięknej kobiety.

Dochodziła już jednak ósma godzina, a nikt nie nadchodził. Gawlik coraz niespokojniej kręcił się pokoju, dokończając ubierania się.

— A może ja mam ich adres w portfelu — przypomniał sobie w pewnej chwili. — Przypominam sobie, że zapisywałem go sobie w Krakowie przy poznaniu z Hermanem.

Sięgnął po portfel i nagle zachwiał się na nogach, jak gdyby miał upaść.

Portfela nie było!

Zimny pot oblał skronie Gawlika.

Chwilę stał osłupiały, oszołomiony, bez myśli, bez ruchu, zdrętwiały pod siłą wrażenia, jakie w niego uderzyło. Po jakimś czasie jednak odetchnął głęboko, potarł ręką po czole i szepnął zduszonym głosem:

— Nie, to nie może być! Musiałem go włożyć do innej kieszeni! Przecież to nie sposób, żebym go zgubił.

Ale napróżno przeszukał starannie wszystkie kieszenie ubrania i zarzutki — portfela nie było!

— Może go zostawiłem w tej restauracyi, gdzie byliśmy wieczorem — pomyślał strapiony. Ale nie!

Przypomniał sobie, że płacił rachunek stojąc we drzwiach, gotowy już do wyjścia.

I nagle błyskawiczna myśl uderzyła w jego mózg.

— Okradli mnie! To jasne! Okradli mnie ci wspólnicy!

Ta zabawa, pijatyka, to uporczywe zajmowanie się nim, co w naiwności swojej brał za dowód uprzejmości, to wszystko było uplanowane, aby uśpić jego czujność i wyprowadzić go w pole — tak! to oczywista! Sprowadzili go do Warszawy pod pozorem interesu, wiedzieli, że większą sumę zabierze ze sobą i skorzystali z jego łatwowierności.

— Ah! łotry! — syknął Gawlik z wściekłością. — Ani jeden się nie pokazał od rana, a mieliśmy dziś przystąpić do zawarcia tego kupna! Ulotnili się psubraty z moim portfelem, a teraz śmieją się ze mnie! A ta pani Iza! Czy to możliwe, żeby taka kobieta była wspólniczką podobnych nędzników!

Na wspomnienie pani Izy niemiłe uczucie ogarnęło Gawlika. Jak mógł być do tego stopnia ślepym i głupim, żeby się dać wziąć na lep jej kokieteryjnych spojrzeń i uśmiechów! Jak romansowy uczeń wzdychał i przewracał do niej oczami! Gwałtu! gdyby o tem żona się dowiedziała!

Nieszczęśliwy, zmaltretowany, opadł bezwładnie na fotel, zatapiając się w rozpaczliwych rozmyślaniach.

Co teraz robić? Jak pokazać się w domu i przyznać się do takiej straty! Dać znać do prokuratoryi? Kiedy nawet nie wiedział, jak ten łajdak się nazywał. Pan Herman! To za mało dla policyi. A ten drugi, ten pan Emil, tyle o nim wie, co o tamtym! A przytem zrobi się rozgłos, skandal, dzienniki się rozpiszą i wszyscy w Krakowie dowiedzą się o jego głupocie, zabawie, szampanach, „Czarnym Kocie" i o tej dyablicy pani Izie. Bo przecież musiałby szczerze wyznać, w jakich okolicznościach zginął mu portfel. Już nie miałby chyba po co wracać do domu, do żony. Kobieta dosyć zgryźliwa i energiczna, w takiej okoliczności zamieni się chyba w wściekłą tygrysicę!

— Trudno! — westchnął ciężko Gawlik, broniąc się mężnie przed ostateczną rozpaczą. — Niema co mówić! Nawarzyłem sobie dobrego piwa! Muszę sam je wypić. Nikomu się nie przyznam o tem, co się stało, bo i tak to mi moich pieniędzy nie wróci. Może mi się poszczęści lepiej z jakimi interesami w Krakowie, to jakoś brak tej sumy uda mi się ukryć przed żoną. Na razie powiem, że kupno tej sacharyny jeszcze nie przyszło do skutku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM I.

21

A Barondi nauczył się tego bardzo prędko i dokładnie. Wzrastał w nienawiści do Anglików, a równocześnie rozwijały się w nim pewne zdolności i upodobania wspólne z Anglikami. Nie był letargicznym człowiekiem Wschodu, niepraktycznym choć chytro-subtelnym, nie myślącym o jutrze, oddającym się próżnym marzeniom uległym, gotowym bić pokłony przed władzą, a potem się odwrócić i kopnąć niżej stojącego człowieka. Nawet w angielskiem pojęciu tego wyrazu, posiadał męskość. Posiadał prawdziwy instynkt i zamiłowanie do sportu. Był czynnym. Posiadał zdolność do rozkazywania, rządzenia, organizowania. Tak, jak u Anglika była w nim pracowitość, która przywodzi do pomyślnego skutku rozpoczęte dzieło. Posiadał wolę i zręczność, wytrwałość i przenikliwość. Po ojcu odziedziczył instynkty rasy zdobywczej, a więc podobne do instynktów angielskich; po matce, która pochodziła z niższej sfery, tę prawie nieograniczoną energię, nie zważającą na trudności w pogoni za zyskiem, która jest charakterystyczną cechą tegoczesnych Greków i Egipcyan. Lecz tkwił w nim też ukryty fanatyzm, fatalizm ciemny i okrutny i brak zupełny skrupułów, który oburzyłby każdego Anglika, zdolnego to zrozumieć, chwilowa dziecinność, raczej egipska niż turko-egipska, instynktowna subtelność, właściwa ludziom słonecznych krajów.

Modlił się, a był zmysłowcem. Pościł, a lubił przepych. Mógł panować nad swemi namiętnościami i rzucić to panowanie nad sobą na cztery wiatry. Lecz we wszystkiem co czynił lub opuszczał, była czujność człowieka wytrwałego, tak w tem, czego nie chce, jak w tem, do czego zmierza. Ale ta czujność czyniła go silnym człowiekiem.

Że posiadał siłę nie tylko fizyczną, Mrs. Armine prędko pojęła. Powiedział jej o swym ojcu i matce, lecz nie wspomniał o atmosferze w której się wychował. Powiedział jej o wielkim majątku swego ojca, o swoich własnych planach, co mu przyniosły i co mu prawdopodobnie przyniosą w przyszłości. Lecz nie powiedział jej o panującym czynniku w jego życiu – jego skrytej nienawiści Anglików, wpajanej mu przez ojca i podsycanej pewnemi zdarzeniami w jego własnej działalności. Nie powiedział jej tego, co zataił już pierwszego wieczoru, kiedy Nigel przyprowadził go do willi, że niektóry Egipcyanie, lubią dogadzać nietylko swej próżności i zmysłowości, lecz także ukrytej niechęci do swych panów, zdradzając ich w najokrutniejszy sposób, jaki się nadarzy. Nie powiedział jej, że od kiedy wyrósł na młodzieńca, młodego chłopca, według angielskich pojęć – on, jak wielu jego współziomków, szykownych, nawpół kulturalnych, panujących nad sobą i przystojnych, cieszył się powodzeniem wśród zachodnich kobiet, przyjeżdżających do Kairu i nad Nil; cieszył się, tem więcej, że każdy jego tryumf był kopnięciem mężczyzny Zachodu, który go miał za dziecko, niezdolne do rządzenia i który spokojnie nim pogardzał, rządząc za niego. Może się bał, że Mrs. Armine odgadnie gorzką prawdę jego natury i odwróci się od niego, pomimo wielkiej atrakcyi, którą dla niej posiadał, pomimo jej wyswobodzenia się ze skrupułów i ironicznego zapatrywania na przeciętnego człowieka.

W każdym razie milczał, a ona prawie zapomniała o cieniu prawdy, który jej się ukazał na terenie willi Audrond. Gdyby go sobie przypomniała, czułaby się zaniepokojoną. lecz nie zawróciłaby z drogi, po której iść zaczęła. Odkąd życie stępiło, zgrubiało jej naturę. Za często dawała się powodować niskim popędom, za często szła za kaprysem. ażeby być szczęśliwą niewolnicą, lub pozwolić patryotyzmowi rządzić jej cnotą.

Mówiła sobie, że kiedy oczy Barondi'ego przemawiały do niej na Hohenzollernie, składały hołd jej piękności, a nie dla innej przyczyny. Co taka kobieta mogła innego myśleć? A jednak były chwile kiedy jej kobieca intuicya poszukiwała innego powodu, a nie znajdując go, wracała głodna.

Barondi nie potrzebował szukać w niej innej przyczyny, niż ta, która mu się rzucała w oczy. Od kiedy doszedł do szesnastu lat życia, przyzwyczaił się do wrażenia, jakie czyniła jego powierzchowność na kobietach Zachodu.

I tak, każdego dnia Ibrahim i Hanza przyprowadzali tę zachodnią kobietę na miejce, które naznaczał i gdzie na nią już oczekiwał.

Barondi lubił tajemnicę i Mrs. Armine nie obawiała się, ani powinna była się obawiać niedyskrecyi z jego strony. Lecz były zazdrosne oczy w willi – oczy, które ją pilnowały każdego poranku, które, z błyskiem ciekawości, witały ją o zachodzie.

Przez długie lata nie potrzebowała dbać o to, co jej pokojowa może o niej pomyśleć. Lecz teraz musiała o to dbać. Powinność ta powstała razem z jej małżeństwem.

Marie nie wiedziała o niczem, nie miała żadnego powodu, żeby coś podejrzewać. lecz ze względu na osobistość swej pani, podejrzewała wszystko, co sprytna, francuska dziewczyna, znająca Paryż, podejrzewać może. I podczas, gdy Mrs. Armine ufała zepsuciu Ibrahima i Hanzy, nie ufała zepsuciu Marie.

Lonlia znikła z Luksorn wraz ze swym panem Mrs. Armine, osamotniona na krótki przeciąg czasu. spędzała dnie na Nilu, zwiedzając okolicę. Jadała lunch poza domem, jak prawie wszyscy turyści czynili. Nie było powodu, któryby mógł obudzić podejrzenie Maryi. Owszem, był powód, kim Mrs. Armine była i co teraz czyniła. Prawda często się ujawnia, niewiadomo nawet jakim sposobem. Mrs. Armine poznawała to wieczorem, patrząc w oczy swej pokojowej i żałowała, że nie wzięła z sobą jakiej głupiej angielskiej dziewczyny.

A z Fayumu padł na nią cień – cień jej męża.

W ośm dni po spotkaniu z Barondi'em, wśród ogniście zabarwionych skał, została zaprowadzona przez Ibrahima i Hanzę, w górę rzeki, do pomarańczowych ogrodów, o których Barondi wspomniał w swej rozmowie z Niglem. Leżały na zachodnim brzegu Nilu, dość daleko, pomiędzy Armant i Luksorem. Zdarzyło się, że dość silny wiatr wiał z północy i żeglarze rozpięli wielkie łacińskie żagle na feluce.

Zielono brunatna woda kłębiła się i szeptała pod rudlem i minarety Luksoru zdawały się szybko uciekać z przed oczu Mrs. Armine, jakby chcąc się ukryć za drzewa palmowe. Kiedy czółno płynęło coraz spieszniej, zaczęła się zastanawiać nad tą wycieczką.

— Dokąd płyniemy? — zapytała Ibrahima.

— Do nowego miejsca — odrzekł poważnie — do bardzo ładnego miejsca.

— Nie powinniśmy się bardzo oddalać — rzekła – nie mogę opóźniać mego powrotu.

Myślała gniewnie w tej chwili o Marie. Żeby Marie nie było w willi Androud! Nie obawiała się nubijskiej służby, wszyscy byli jej oddani. Przyzwyczaiła się uważać ich za swoich — nie Nigla – czarnych niewolników. Lecz ta nieznośna, sprytna francuska dziewczyna, której ufać nie mogła.

— Powiedziałem francuskiej miss, że jedziemy w góry, zwiedzić świątynię – świątynię, która jest cudowna, pełna Ramzesów. Powiedziałem, że wrócimy późno.

Mrs. Armine przenikliwie spojrzała w łagodne, błyszczące oczy chłopca.

— Tak, lecz musimy wrócić w porę — rzekła i cała jej natura, przyzwyczajona do swobody, zbuntowała się przeciw temu lekkiemu obowiązkowi.

Nagle, uczyniła postanowienie: rozstanie się z Marie – odeszle ją do Europy. Jak sobie poradzi bez pokojowej? Nie mogła sobie tego wyobrazić, lecz w tej chwili nie dbała o to. Rozstanie się z Marie, i — uśmiech ukazał się na jej ustach.

— Dlaczego pani się śmieje? – zapytał Ibrahim.

— Bo tak ładnie, bo jestem szczęśliwa — odrzekła.

Wistocie, uśmiechnęła się na myśl swego wytłomaczenia Niglowi: „nie potrzebuję tutaj pokojowej. Chcę się nauczyć być prostą, usługiwać sobie sama. A w dodatku jak mogłabym ją zabrać do Fayum?"

Nigel będzie uszczęśliwiony.

A Fayum bez pokojowej? Lecz odwróciła swe myśli od tego przedmiotu; będzie żyła dniem dzisiejszym – dniem dzisiejszym na Nilu. Oparła się o poręcz czółna i patrzała na południe po przez wielką przestrzeń wody, odzwierciadlającej blask słońca. A podczas gdy patrzała, czółno zawróciło do brzegu. I na wysokiem brunatnem wybrzeżu, na którem nadzy, brunatni ludzie śpiewali, pochylając się nad sobą, ujrzała długie uszy osła, a następnie białą szatę i sylwetkę, podobną do posągu z bronzu.

Hanza czekał na nią – czekał, jak Fatum!

XIX.

Mrs. Armine jechała stępa wybrzeżem. Hanza nie zwrócił głowy osła w stronę gór Libijskich. Grobowce i świątynie Teb, były daleko. Dziwiła się, dokąd ją prowadzą, lecz się już nie pytała. Poddała się z przyjemnością nowemu wrażeniu być rządzoną z oddali, i przypominała sobie grę swej wyobraźni, kiedy była zamknięta w ciemnym salonie Lonlu. Wyobrazila siebie wtedy niewolnicą, jakiemi są żony na Wschodzie. Spojrzała na Ibrahima i Hanzę, i pomyślała o eunuchach, którzy towarzyszą wschodnim kobietom wyższego stanu, kiedy zawoalowane wychodzą ze swych haremów. Dotknęła się welonu, i uśmiechnęła się do swych myśli.

W niewielkiej odległości ujrzała ciemną zieleń drzew regularnie rosnących, posadzonych widocznie ręką człowieka, nie natury. To nie była pierzasta zieleń drzew palmowych. Przyjrzała się uważnie i poznała.

— Pomarańczowe ogrody Mahmond-Barondi'ego — rzekła do Ibrahima.

— Tak — odrzekł.

Spojrzał w ich stronę i dodał po chwili:

— Są bardzo piękne, rzeczywiście.

Poczem zaczął mówić prędko, po arabsku, do Hanzy. Hanza odpowiedział z równą szybkością. Kiedy rozmawiał ze swymi ziomkami, wydawał się innym człowiekiem. Jego, prawie okrutny spokój bronzu, znikał, twarz nabierała wyrazu, życie zdawało się w nim płynąć strumieniem. Lecz, jeśli Mrs. Armine zwracała się do niego, natychmiast niewzruszony spokój powracał. Odpowiadał: „yes" i oczy jego stawały się nieprzeniknione.

— Jakiemi te ogrody są w rzeczywistości – myślała podczas rozmowy Nubijczyków. W powietrzu unosiła się silna, aromatyczna woń. Ta woń była jej przyjemną, i doznała wrażenia, że dotychczas żyła w jaskini, że wiedziała o życiu daleko mniej, niż do niedawna jeszcze przypuszczała.

Przejechali między pomarańczowym laskiem a Nilem, zwrócili na prawo i stanęli przed domem, który się wznosił w środku lasku, w rozkosznej samotności i ciszy. Po obu jego stronach szły rzędy drzew z błyszczącymi liśćmi, pomiędzy którymi zwieszały się masami zielone żółknące, lub zupełnie już złote kule, wyglądające na sztuczne, z powodu swej dekoratywności. Wiatr, który wydymał żagle feluki, nie dochodził tutaj. W gorącej ciszy owoce dojrzewały, żeby napełnić złotem kieszeń Barondi'ego. Mrs. Armine zsiadła przed domem, pomalowanym na bardzo jasny, różowy kolor. Dom był jednopiętrowy. Podwójne schody prowadziły na taras, na który wychodziły drzwi z drzewa palmowego, drzwi te były otwarte; ukazał się w nich Barondi w turbanie, w flanelowem ubraniu, trzymając w ręku duży wachlarz z liścia palmowego. Hanza odprowadził osła poza dom, Ibrahim poszedł za nim. Mrs. Armine weszła zwolna po schodach. Barondi nie wyrzekł słowa, a ona stała obok niego w milczeniu, patrząc na lasek pomarańczowy. Świat zdawał się być zasadzony temi ślicznemi drzewkami, a ich wygląd, trochę sztuczny, przyjemnie do niej przemawiał. Wyglądały, jak drzewka doskonale ubrane.

Od dnia, w którym po raz pierwszy spotkała Barondi'ego w górach, zaczęła się na nowo malować. Marie mogła się mylić. Tego dnia Mrs. Armine była bardzo zadowolona, że nie zaufała kompletnie naturze. Wśród tych pomarańczowych drzew czuła się na swem miejscu, podniosła welon i rzekła do Barondi'ego:

— Jak się to nazywa?

— To jest willa Nout d'Or. Używam wyrazu willa we włoskiem znaczeniu.

— Oh tak! Noc złota. Dlaczego noc?

— Drzewa rzucają cień wokół domu.

— Złotą – rozumem.

— Tak, pani rozumie złoto.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Rozumie to pani tak dobrze, jak i ja, lecz może w inny sposób — rzekł.

— Przypuszczam, że rozumiemy wiele rzeczy w inny sposób. (C. d. n.).

Kronika tygodniowa

Pokazuje się, że z rokiem 1920. nie tak znów łatwo się pożegnać, jak mogłoby się komu wydawać. Żegnał go kronikarz już w dwu ostatnich numerach, a przecież do ostatecznego zamknięcia rachunków bardzo jeszcze daleko. Pokazuje się, że jest to bezdenna studnia, z której śmiało można czerpać i rok cały a materyału nie braknie.

Na razie omawianie dobrych i złych stron nieboszczyka musimy jednak zawiesić na kołku, a słów kilka poświęcić przecież jeszcze w okresie świątecznym, z czego wyniknie jasno, jak na dłoni, że rok ubiegły był nadzwyczajnie chudy, chudszy nawet od owych krów, które Faraonowi spać nie dały, a Józefa, syna Jakóba, zrobiły dyrektorem pierwszej na świecie centrali.

O przygotowaniach do Świąt wiedzą już Czytelnicy z poprzednich kronik, a jeszcze lepiej z własnego doświadczenia. Równały się one zeru, trzeba było bowiem wygrać milion na premiówkę, aby sobie módz pozwolić na urządzenie wigilii, bodajby w przybliżeniu podobnej do którejś z przedwojennych. Ceny artykułów, bez których dawniej nie wyobrażaliśmy sobie Świąt, doszły zawrotnej wprost wysokości, trzeba było być w samej rzeczy milionerem i to wielokrotnym, aby sobie módz pozwolić na wybranie się na targ, nie tylko celem obserwacyi, ale i dla porobienia zakupów. Kilogram mąki sto pięćdziesiąt marek, cukru trzysta, masła pięćset, nawet jajko sztuka piętnaście marek... Mimo tak wygórowane ceny byli przecież tacy, którzy prosili się, aby im sprzedano, sprzedający zaś, czyniąc to, uważali że miejskim głodomorom robią ogromną łaskę. Takich „wybrańców losu", których stać było na podobne wydatki, było przecież stosunkowo mało, ogromna natomiast większość doszła do przekonania, że bez strucli i innych podobnych bałabachów można się obejść bardzo łatwo, że zatem można zerwać z zastarzałymi przesądami.

Gdyby zresztą udało się przeciętnemu śmiertelnikowi zaopatrzyć nawet w owe składniki, które, według przepisów nieocenionej pani Lucyny Ćwierciakiewiczowej, niezbędne są do sporządzenia strucli, placka lub czegoś podobnego, nowy nastręcza się kłopot, czem w piecu zapalić, skoro mamy różnego rodzaju urzędy, zajmujące się rozdziałem węgli, węgli zato brak... Z powodu braku strucli, babek i t. d. nikt dotąd zresztą nie umarł, przekonano się, że zupełnie dobrze mogą być zastąpione kawałkiem suchego chleba, kupowanego dziś naprawdę na wagę złota. Kto zapłaci sto marek za bocheneczek, uważa się za szczęśliwego i ze skarbem zdobytym pędzi pod dach rodzinny, ścigany zazdrosnemi spojrzeniami innych, nie mogących sobie na coś podobnego pozwolić.

Niejednej gospodyni zakręciły się też łzy w oku, gdy spojrzała na zimny piec, ale musiała się pogodzić z przykrą koniecznością. Pocieszało ją, że nie ona jedna, że ma cały legion towarzyszek niedoli, skazanych na świąteczne bezrobocie.

Nie lepiej było i z rybami. Magistrat ogłosił wprawdzie już przed miesiącem, że tego roku o rybki się nie postara i zachęcał obywateli, aby sami zajęli się, póki czas, ich łapaniem, sądzono przecież, że może bodaj w ostatniej chwili się rozmyśli i wpłynie w ten sposób na uregulowanie cen tego drogiego artykułu, który wydawał się nam dawniej nieodzownym.

Niestety!... Kto tak sądził, ten się mylił. Magistrat pozostał konsekwentnym aż do końca, nie chcąc widocznie wchodzić w drogę rybnym paskarzom, do których grona, jak doniosły pisma codzienne, należał podobno i jeden z ojców miasta. Szkoda tylko, że nie podano do publicznej wiadomości jego nazwiska. Na tem wychodzi najgorzej ogół radców miejskich, z których każdego posądza się o to, że on umaczał swe ręce... w kadzi z świętalnemi rybami... Kronikarz patrzy odtąd na każdego z nich nieufnie i, spotkawszy któregoś z nich, zadaje sobie w duchu pytanie:

— A może to właśnie ten, dzięki któremu nie jadłem tego roku karpia na wilię?...

Wobec braku konkurencyi, paskarze rybni urządzili prawdziwą orgię, a cena kilograma karpia dosięgła dwustu pięćdziesięciu marek...

I co na to „Urząd walki z lichwą żywnościową", który miał w tym czasie widocznie co innego w głowie, nie rybki?... Nie tak daleko od Krakowa, bo w Dziedzicach, kupowano karpie po czterdzieści marek za kilogram, jak się o tem kronikarz przekonał z oświadczenia pewnego obywatela, któremu można wierzyć.

Nie było nawet śledzi, gdyż te, które w okresie przedświątecznym nadeszły do Krakowa, miały czas tymczasem się zaśmierdzieć, uratowało to jednak sytuacyę, gdyż nikomu wobec tego nawet przez myśl nie przeszło zaopatrywać się na Święta w jakieś trunki, aby rybka miała w czem pływać i aby mogła wyjść na zdrowie...

Pożądliwem okiem spoglądano natomiast na choinki i to jak największe. Niejeden miał ochotę nabyć którą z nich i... powiesić się na niej z radości, że tak miłych i wesołych dożyliśmy czasów.

Wobec zatem tak pomyślnych konjunktur, rzecz oczywista, że i w kronikarskim domu musiano się obejść bez wigilii z zupką rybną, kluskami z makiem, struclą i t. d. Na radzie familijnej, odbytej przed tygodniem, zastanawiano się wprawdzie poważnie nad tą kwestyą, pokazało się przecież, że wszelkie możliwe i niemożliwe kredyty, jakie mogłyby być na ten cel przeznaczone, nie wystarczą. Obliczono dokładnie, że uczciwa wigilia z rybką i t. d., kosztowałaby 4382 Mkp 18 fen., ze śledziem zaś o trzysta marek taniej. Skończyło się zatem na połamaniu się resztką zeszłorocznego opłatka i wymienieniu życzeń, aby rok przyszły był już lepszy. Herbatka z sacharyną i kawałek chleba bez masła, dopełniły uczty rodzinnej, po której miało się za to bardzo spokojny sen.

Nieba były przecież dla kronikarza dość łaskawe, gdyż znalazł się pewien zacny obywatel, który zaopatrzył go w dwie strucelki, jedną, jak sam mówił, jałową, drugą przekładaną. Niestety!... W wigilijny wieczór Weronika pozwoliła na nie tylko patrzeć, broniąc dzielnie przed zamachami na ich całość. Lwica nie broni tak swych dzieci, gdy się znajdą w niebezpieczeństwie.

— A nuż się kto trafi — mówiła — w pierwsze lub drugie Święto?... Będzie go bodaj czém przyjąć...

Na szczęście „nie trafił się" nikt, obie strucle spożyła wyłącznie najbliższa rodzina, codziennie po małym kawałeczku. Weronika była w rozpaczy, wyobrażała sobie bowiem, z jaką zawiścią byłyby na nią spoglądały przyjaciółki, zazdroszcząc jej, że mogła sobie pozwolić na podobny zbytek... A nie byłaby się przyznała, że to prezent...

Kronikarz, gryząc po kawałku przez cały tydzień ową „jałową" struclę, w której smaku czuć było i cukier i masło i jaja, prosił Boga, aby mu pozwolił przez całe życie karmić się taką „jałowizną", a z pewnością za kilka miesięcy wyglądałby zupełnie inaczej...

Oba dni Świąt były w całem tego słowa znaczeniu bardzo szare. Nawet pogoda nie dopisała, a św. Barbara nas zawiodła. Jej imieniny były „po błocie", takie samo i Boże Narodzenie, nawet z deszczem. W niebieskiej Centrali dla pogody robiono widocznie inwentarz i chciano się pozbyć resztek deszczu, nie zużytkowanego w lecie i jesieni. Siedziało się zatem w domu i czytało gazety. O odwiedzeniu znajomych nikt nawet nie pomyślał, bo i po co?... Marznąć w nieopalonym pokoju, można i w domu, a było się z góry na to przygotowywać, że nie można się nigdzie spodziewać „sztucznego ogniwa".

Od czasu pobytu słynnego Guzika w Krakowie, zwłaszcza płeć nadobna nabiła go sobie do głowy, korzystano zatem z doświadczenia, nabytego na łamach „Kuryerka", i urządzano seanse na swoją rękę, naturalnie bez Guzika.

I Weronika próbowała szczęścia, przekonała się przecież, że i duchy szanują ustawę o spoczynku niedzielnym. Nie pojawił się żaden. Tłukło się wprawdzie coś w kącie, była to jednak, jak się później pokazało, nie pokutująca dusza, lecz zwyczajna mysz, która swą ciekawość przypłaciła śmiercią.

Nie wszyscy przecież Krakowianie narzekają na brak przyjemności w okresie świątecznym. Byli tacy, którzy i wieczór wigilijny obchodzili po staremu i w oba dni Świąt bawili się nie najgorzej.

Dawniej z pierwszą huczniejszą zabawą czekano do Sylwestra, tego roku widocznie brakło Krakowianom (zwłaszcza zaś Krakowiankom...) cierpliwości i już w drugie Święto urządzono zabawę taneczną w sali „Sokoła", oczywiście na cel dobroczynny, w tym kierunku może bowiem Kraków służyć za wzór innym miastom, że lubi nogami ocierać łzy nieszczęśliwych i potrzebujących.

Widzieliśmy pod sklepem Rudnickiego ogonek „balowo-biletowy", złożony z przedstawicieli i przedstawicielek obojga płci. Stali, czekając cierpliwie na swą kolej, ale niecierpliwie przebierając nogami, nie ze zimna, gdyż właśnie było ciepło, ale z wielkiej ochoty i radości, że można będzie odnóża swe złożyć na ołtarzu dobroczynności publicznej. Nikt bowiem nie spieszy tam, aby się zabawić. każdy ma na celu położenie biedaków, dla których litościwe jego serce gotowe jest do najdalej idącego poświęcenia.

Następny bal zapowiedziany był na dzień Sylwestra, chyba więc Kraków na brak sposobności do zabawy narzekać nie może...

Jeżeli się jednak zestawi koszta, z jakiemi połączone jest w dzisiejszych czasach wybranie się na zabawę taneczną z ewentualnym dochodem jaki wpłynie na ów cel dobroczynny, musi się przyznać, że nie opłaci się skórka za wyprawę, a ów „cel szlachetny" jest tylko wymówką i wytłómaczeniem, gdyby ktoś wystąpił z zarzutem, że w tych poważnych i ciężkich chwilach, jak obecne, nie powinno się myśleć o zabawach...

„Cel uświęca środki"... mówi przysłowie i ma racyę. Zarzutów nikomu stawiać nie wolno, gdyż go ogłoszą za człowieka bez serca, pozbawionego szlachetnych uczuć, nieczułego na niedolę bliźnich i t. d.

Przechodzi zatem kronikarz nad obiema temi zabawami do porządku dziennego, nie składając z nich sprawozdania, gdyż na nich nie był. Ogromnie natomiast jest ciekawy, ile też przyniosły „czystego dochodu", czy przypadkiem nie wydarzy się coś podobnego, jak to co miało miejsce niedawno w Warszawie, że zamknięcie rachunków z jakiegoś szumnie reklamowanego festynu, wykazało w rezultacie deficyt kilkudziesięciutysięczny, którego nie pokryli bynajmniej członkowie urządzającego komitetu, ale instytucya, na rzecz której dochód był przeznaczony. Chcąc, nie chcąc, musiała zapłacić za to, aby innym dać sposobność do zabawy.

I u nas dzieje się nieraz podobnie, dlatego też komitety nie spieszą się nigdy z podawaniem do publicznej wiadomości finansowego rezultatu przedsięwzięcia.

Sylwestra, choć to niemiecki zwyczaj, nie polski, obchodzono, jak zresztą corocznie, bardzo głośno, najgłośniej zaś ci, którzy Nowy Rok obchodzą we wrześniu, nie w styczniu. Na podstawie ochrony praw mniejszości narodowych nikt im tego naturalnie za złe wziąć nie może... Mają dość pieniędzy, więc się bawią, gdy tymczasem z pośród nas ten i ów w szale zabawy szuka jedynie zapomnienia tego, co go boli, co mu dolega.

I kto z przebiegu zabawy w wieczór Sylwestrowy chciałby wnosić o tem jak Kraków spędził rok ubiegły, ten doszedłby do zupełnie fałszywych konkluzyi. Bawiący się, to wyjątki, ogół dzień ten, a raczej wieczór, spędził niezbyt wesoło.

Jak już wyżej zaznaczyliśmy, i bawiących się były dwie kategorye: jedni mieli powód do wesołości, gdyż dla nich był to w samej rzeczy rok mlekiem i miodem płynący, a do ich rzędu należeli wszelkiego rodzaju paskarze, lichwiarze i spekulanci wojenni, dla których był on nawet zbyt krótki i pragnęliby, aby następny nie był gorszy od niego, drudzy w wirze i szale zabawy szukali tylko zapomnienia kłopotów. Dla tych ostatnich rok 1920 był stanowczo za długi, a ożywiała ich nadzieja, że następny w niczem nie będzie podobny do swego poprzednika.

Rojno zatem i gwarno było w restauracyach i kawiarniach. Polski Kraków bawił się na modłę niemiecką, gdyż wieczór Sylwestrowy to pamiątka po naszych byłych opiekunach. Strzelały zatem korki szampanowe, muzyka grała od ucha, brakło jedynie... czworonożnych przedstawicieli nierogacizny, której kilka egzemplarzy, również na sposób niemiecki, puszczano dawniej na salę o północy „na szczęście". U Niemców szczęście i przedstawiciel rodzaju „bezrogów" to pojęcia bardzo z sobą zbliżone. Aby być szczęśliwym, trzeba wstępować w ich ślady.

Sam dzień Nowego Roku nie różnił się niczem od swych poprzedników. Gratulantów nie brakło, przesunęli się w zwykłym porządku. W obecnych warunkach jednak byłaby odpowiedniejszą zmiana ról. Ci, którzy je dotychczas w dzień Nowego Roku składali, powinni je przyjmować, odpowiednio za nie dziękując, w gratulantów i to bardzo pokornych powinni się przeistoczyć ci drudzy, już choćby tylko z tego powodu, że z życzeń, których corocznie tyle wysłuchali, przeważnie nic się nie spełniło...

Kronikarz dzień Nowego Roku spędził i głodno i chłodno i na sucho, niepotrzebnie tylko drażnił jego powonienie miły zapaszek gęsinki, dolatujący od strony mieszkania „państwa stróżów", mających w tym dniu liczne towarzystwo na proszonym obiedzie. Żałował też kronikarz, że wczesnym rankiem nie złożył życzeń noworocznych panu Walentemu, byłby może i on znalazł się w gronie biesiadników, i miał sposobność zadowolić zmysł wzroku obficie zastawionym stołem, słuchu, brzękiem kieliszków, dotyku, przedewszystkiem zaś smaku, co niestety, proletaryuszowi inteligencyi tak rzadko się dziś przydarza.

Z tego określenia przeżyć świątecznych, nad któremi czytając je po latach, potomność z pewnością gorzkiemi łzami zapłacze ale i podziwiać nas musi, że potrafiliśmy tyle znieść a na duchu nie upadliśmy, przekona się nawet uprzedzony, że rok 1920. był naprawdę „chudy" i że byłoby ze wszech miar wskazanem, aby jak najprędzej rozpoczęła się serya „tłustych", których może być nie siedm, ale nawet i siedmdziesiąt, a z pewnością nikt się o to nie pogniewa.

Nowa legenda o losach carskiej rodziny.

Z żadnym na świecie tronem nie wiąże się tyle tragicznych tajemnic, co z rosyjskim. Prawie wszyscy carowie tracą życie gwałtowną śmiercią, a i o tej małej garstce, która schodzi z tego świata w sposób naturalny, nie można z całą stanowczością twierdzić, że zgon nie był następstwem skrytobójczego zamachu, o którym jedynie wiadomość nie zdołała się przedostać przez grube mury carskich zamków i pałaców.

Samodzierżca Wszech Rosyi, nieograniczony władca większej części Europy i potężnego szmatu Azyi, mocarz, dyktujący swą wolę całemu światu, był przecież tylko niewolnikiem na tronie, narażonym z jednej strony na śmierć z ręki swego najbliższego otoczenia, gdyby chciał dać ludowi wolność i ukrócić w ten sposób cugli samowoli czynowniczej, z drugiej zamachów najróżnorodniejszych grup rewolucyjnych, pokrywających gęstą siecią cały obszar rosyjskiego państwa. Jedynie wiernymi swemu władcy pozostali przedstawiciele ciemnego rosyjskiego ludu i dziś, gdyby się ich zapytano o ich wolę, z pewnością opowiedzieliby się za powrotem na tron cara-batiuszki. Wiedzą o tem dobrze dzisiejsi władcy Rosyi, komuniści i dlatego z taką bezwzględnością występują przeciw carskiej rodzinie.

Gdy przed niedawnym czasem obchodzono trzechsetletny jubileusz wstąpienia na tron Romanowów, wybito z tego powodu pamiątkowe ruble z podobizną dwu Romanowów, Michała, pierwszego cara z tej rodziny i Mikołaja, ówczesnego władcy. I z pewnością nikt nawet nie przypuszczał, że może to być znakiem, iż od tamtego się zaczęło, a na tym się skończy i to w sposób tak tragiczny.

Wstąpienie na tron Mikołaja II. odbyło się pod złą wróżbą. Była nią straszna katastrofa podczas uroczystości koronacyjnych na polu Chodyńskim w Moskwie, zakończyła jego rządy wojna światowa, do której wywołania przyczyniła się w znacznej mierze polityka rządu carskiego.

Wybuch wojny był zarazem hasłem do wybuchu rewolucyi, która w miarę niepowodzeń rosyjskiego oręża podnosiła coraz bardziej głowę, a wynikiem jej zdetronizowanie cara i wywiezienie go do Tobolska, gdzie jakiś czas przebywał jako więzień rządu rewolucyjnego. Gdy zaś w dalszym ciągu wewnętrznego przewrotu ster władzy ujęli w swe ręce komuniści, los cara i jego rodziny był przypieczętowany.

Z Tobolska przetransportowano rodzinę carską do Jekaterinburga i umieszczono pod silną strażą w domu kupca Opatiewa, tu też roz rozegrała się straszna tragedya, której ofiarą mieli paść wszyscy jej członkowie, oraz najbliższe, wierne jej do ostatniej chwili otoczenie. Zginęli od kul rewolwerowych komunistów, wyrok na samym carze i carewiczu wykonał własnoręcznie komisarz sowiecki, Żurowski. Ciała pomordowanych pochowano w opuszczonym szybie sąsiedniej kopalni.



Nowa legenda o losie rodziny carskiej: Pokój, w którym zamordowano rodzinę carską.



Zmierzch Republiki fiumańskiej: D'Annunzio przemawia z balkonu swojej rezydencyi przeciw traktatowi w Rapallo.



Nowa legenda o losie rodziny carskiej: Car Mikołaj z dziećmi podczas internowania w Tobolsku. Od lewej ku prawej: W. ks. Olga i Anastazya, car i carewicz, w. ks. Tatiana, oraz w. ks. Marya.

Tyle dowiedziała się o losach cara i jego rodziny Europa. Ostatnie chwile skazańców otacza mgła tajemniczości i dużo jeszcze czasu ubiegnie, nim świat dowie się całej prawdy.

Liczne natomiast na ten temat krążą legendy i to nie tylko w samej Rosyi, ale i poza jej granicami. Choć w ubiegłym roku znajdował się w warszawskim więzieniu, komunista, który twierdził, iż był jednym z wykonawców wyroku na członkach carskiej rodziny, nawet w Polsce nie brak takich, którzy są pewni, że car żyje i gdzieś się ukrywa, a wieści o owych tajemniczych trumnach, zawierających rzekomo zwłoki członków jego rodziny, są tylko zwykłą plotką, obliczoną na zbałamucenie opinii publicznej przez bolszewików, którym zależy na tem, aby świat uwierzył, że były car nie należy już do żyjących.

Ostatnio pojawiła się w Londynie nowa pogłoska o smutnym losie cara Mikołaja II. i jego rodziny. Powrócił tu niedawno jeden Anglik, który od szeregu lat zajmował jakieś podrzędne stanowisko w składzie najbliższej usługi cara Mikołaja. Po wywiezieniu cara z rodziną na Sybir, a potem do Jekaterinburga, Anglik ten w jakiś sposób przedostał się tam i porzuciwszy cara Mikołaja II., który podobno żyje. Według owego Anglika, opowiadają w Londynie o carze taką, oczywiście bardzo fantastyczną historyę:

Gdy car z rodziną mieszkał w Jekaterinburgu, w domu kupca Ipatiewa, wartę wewnętrzną pełnił bardzo nieliczny oddział majtków kronsztadzkich. Ci widywali często cara i jego rodzinę. Natomiast czerwonogwardziści, którzy pełnili wartę zewnętrzną, prawie nigdy go nie widywali. Z tego skorzystała wielka księżniczka Tatjana. Zdołała ona rozkochać w sobie starszego z majtków, niejakiego Marczuka, któremu zdołała wmówić, iż popełnia śmiertelny grzech, podnosząc rękę na swego cara i że zasłuży na zbawienie wiekuiste, jeżeli dopomoże uratować cara i jego rodzinę. To samo udało się Tatjanie wmówić jeszcze w kilku majtków. Wśród dozorców utworzyła się więc partya, która zdecydowała się uwolnić cara z rodziną. Było to rzeczą nie łatwą, ponieważ w Jekaterinburgu stale przebywał przysłany z Moskwy specyalnie dla doglądania komisarz, który co kilka dni odwiedzał więźniów.

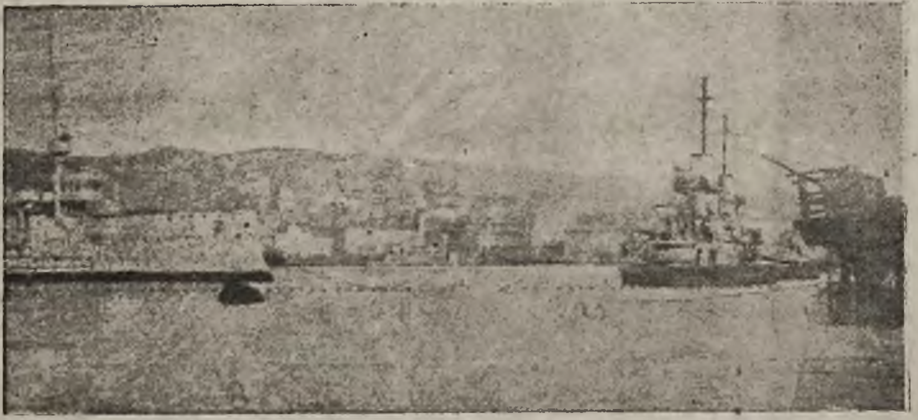
Jednak Tatjana znalazła i na to sposób. Marczuk za pomocą kolegów wynalazł jakiegoś nawpół obłąkanego chłopa, który z twarzy i figury był podobny do cara Mikołaja i pokryjomu wprowadził go do domu Ipatiewa. Wtedy uplanowano pewnej nocy ucieczkę. Carowa Aleksandra, która prawie zupełnie straciła zmysły i cały czas spędzała na modlitwie i rozmowach z duchem Rasputina, stanowczo wymówiła się od ucieczki. Starsza księżniczka Olga zdecydowała się pozostać przy matce.

Pewnej nocy, za poradą Tatjany, Marczuk i jego koledzy poili czerwonogwardzistów wartowników tak, że wielu z nich straciło przytomność. Car, następca i dwie młodsze córki wydostali się przez ogród i parkan na ulicę, gdzie czekały przygotowane konie. Tatjana i Marczuk pozostali, żeby ostatecznie uśpić czujność czerwonogwardzistów. Marczuk zaproponował, iż pokaże im śpiącego cara, który jest trochę niezdrów i od kilku dni nie wstaje z łóżka. Podeszli do sypialnego pokoju, uchylili nieco drzwi i ujrzeli śpiącego cara Mikołaja. W rzeczy samej był to chłop, sprowadzony poprzednio.

Kiedy czerwonogwardziści popili się tak, że stracili przytomność, Tatjana i Marczuk uciekli w ślad za carem. Podobno ucieczki nie zauważono przez dwa dni. Car Mikołaj z synem i córkami udali się do jednej wsi w Syberyi, gdzie się zatrzymali. Za czasów Kołczaka Tatjana namawiała ojca, ażeby odkrył swoje *incognito*. Jednak car Mikołaj stanowczo odmówił, oświadczając, że „teraz nie czas na to".

Klęska Kołczaka była tak niespodziewaną i wieść o tem doszła do wsi, gdzie zamieszkuje car Mikołaj a która jest położona od najbliższej stacyi kolejowej o przeszło 15000 wiorst, tak późno, że car Mikołaj nie zdążył uciec.

Co się zaś tyczy carowej Aleksandry i księżniczki Olgi, zostały one rozstrzelane razem z chłopem, którego komisarze bolszewiccy umyślnie uznali za cara Mikołaja, ażeby ukryć całą historyę ucieczki.



Zmierzch Republiki fiumańskiej: Port fiumański zamknięty przez flotę sprzyjającą D'Annunziowi. Na lewo okręt „Cortelazzo", na prawo „Dante Alighieri".



Nowa legenda o losie rodziny carskiej: Komisarz czerezwyczajki Żurowski, zabójca cara i carewicza.

Powrót króla Konstantyna
do Grecyi.

Dzień 5. grudnia ubiegłego roku stał się bardzo ważną datą w dziejach nowoczesnej Grecyi. W dniu tym naród wypowiedział swą niezłomną wolę, iż pragnie powrotu na tron swego prawowitego władcy, króla Konstantyna, przebywającego dzięki intrygom rządów koalicyjnych na wygnaniu w Lucernie, w Szwajcaryi. Polityka bałkańska mocarstw sprzymierzonych poniosła zupełną klęskę, widomy jej przedstawiciel w Grecyi, „wielki Kreteńczyk", Venizelos, musiał ustąpić. Po raz pierwszy samostanowienie ludu o swym losie odniosło pełny tryumf.

Anglia i Francya, którym tego rodzaju rozwiązanie sprawy greckiej poszło nie po myśli, zaprotestowały wprawdzie przeciw powołaniu króla Konstantyna na tron nie tyle może w zamiarze konsekwentnego przeprowadzenia do końca swej woli, ile raczej dla ratowania swej powagi i interesów. Widocznem to jest z ostatnich telegramów, donoszących, że Anglia gotową jest już do uznania obecnego porządku rzeczy w Grecyi pod pewnymi warunkami, a są nimi daleko idące koncesye handlowe na jej rzecz.

W bardzo dziwnem zresztą świetle wystąpiłyby państwa koalicyjne, twórcy zasady samostanowienia narodów o swym losie, gdyby chciały siłą lub dyplomatycznemi sztuczkami sprzeciwić się tak wyraźnie wypowiedzianej woli ludu greckiego, którego prawie dziewięć dziesiątych oświadczyło się za swym królem.



Nowa legenda o losie carskiej rodziny Pokój wielkich księżniczek w domu Ipatiewa.

Król Konstantyn, natychmiast po ogłoszeniu wyniku plebiscytu, wybrał się w drogę powrotną do ojczyzny.

Kierunku jej nie zmienił, choć, według zawiadomień włoskiej policyi aresztowano w Medyolanie dwu Greków, uzbrojonych w bomby, którzy oświadczyli, że zamiarem ich było zgładzenie króla. Pod czas przejazdu przez terytoryum włoskie i w chwili wsiadania na okręt, władze włoskie oddawały wszędzie królowi honory przepisane, nie solidaryzując się w ten sposób z resztą mocarstw koalicyjnych. Niewątpliwie i tu wchodził w grę interes, wobec wobec którego wszystko inne schodzi na drugi plan. Interesy Włoch i Grecyi na morzu Adryatyckiem mają bardzo wiele stycznych punktów.

W niedzielę, dnia 19. grudnia ubiegłego roku, odbył król Konstantyn wraz z rodziną prawdziwie



Nowa legenda o losie rodziny carskiej: Dom kupca Ipatiewa w Jekaterinburgu, w którym uwięziono i zamordowano rodzinę carską.

tryumfalny wjazd do Aten. Witały go tysiące poddanych, przybyłych umyślnie w tym celu z najodleglejszych okolic państwa. Nastrój panował nadzwyczaj podniosły, nie zakłócił go żaden, najmniejszy nawet dysonans. Zwolennicy polityki koalicyjnej Venizelosa, po podjęciu kilku prób wywołania rewolucyi, które się przecież nie powiodły, musieli dać za wygraną.

Król Konstantyn w towarzystwie rodziny przybył w pełnym galowym mundurze, z buławą marszałkowską w dłoni. Przez całą drogę był on przedmiotem naprawdę serdecznych owacyj ze strony ludu, bardzo widocznie przywiązanego do swej dynastyi, choć nie jest on pochodzenia greckiego. Rozlegały się patryotyczne okrzyki i oklaski na jego cześć, słychać było głosy: „Wezwaliśmy cię i oto jesteś między nami"... Okna i balkony domów przybrane były flagami, dywanami i kwieciem, z areoplanów sypał się na miasto prawdziwy grad gałązek laurowych i wieńców. Pogoda dopisała wspaniale. — Podczas oficyalnego powitania brakło jedynie przedstawicieli Angli i Francyi, którzy na ten dzień opuścili Ateny.

Tego rodzaju wjazd tryumfalny był dla króla i jego rodziny zasłużoną nagrodą za te przejścia smutne, które stały się ich udziałem dzięki intrygom i fatalnemu zbiegowi okoliczności.

Małpa, czy dziki człowiek.

Któż z nas kształcących się niegdyś na „Zoologii" Nowickiego, nie przypomina sobie zajęcia, jakie w nim budziła podobizna goryla, zdobiącego pierwszą stronicę tej książki?...

Młode pokolenie dopatrywało się w nim podobieństwa do człowieka, a kwestya zbliżonego jego pokrewieństwa z rodzajem ludzkim zajmowała nawet poważnych uczonych, dowodzących że człowiek pochodzi od małpy. Nie brakło też badaczy przyrody utrzymujących, że to poprostu „dziki człowiek" w stanie pierwotnym, kształtem swym przystosowany do życia jakie prowadzi. Byli nawet i tacy, którzy chcieli goryla „ucywilizować", to jest zamienić na kulturalnego człowieka, a Czytelnicy przypominają sobie zapewne drukowaną przed laty w „Nowościach Illustrowanych" bardzo zajmującą powieść, pod tytułem „Bałaoo".

Z czasem zainteresowanie Europejczyków do „prawdziwej" małpy ostygło, Europa obchodzi się jakoś bez nich, odkąd resztki magotów, zamieszkujących okolice Gibraltaru, nie wyginęły dzięki zachłanności rodzaju ludzkiego, nie oszczędzającego nawet swych „krewniaków".

Obecnie jednak są znów małpy na porządku dziennym, a to od chwili gdy małpa stała się w Grecyi królobójczynią.



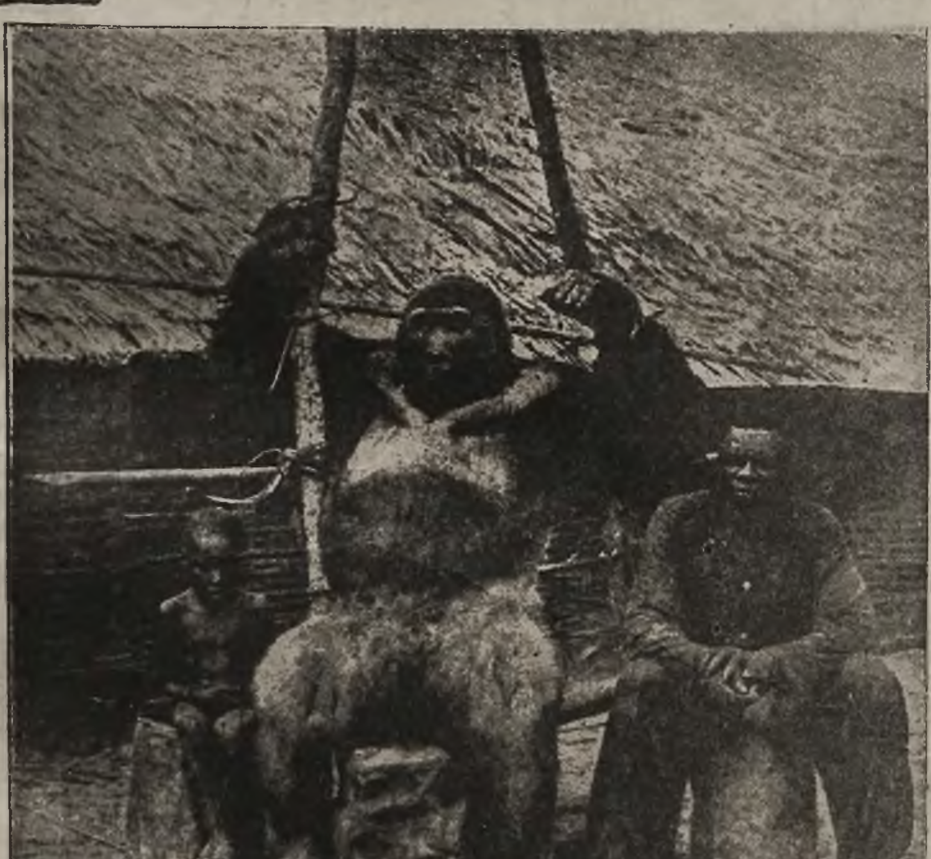
Nowa legenda o losie rodziny carskiej · Pokój cara, carowej i carewicza w domu Ipatiewa.

Spotykamy się też we francuskich pismach z wiadomością, że w Kamerunie natrafiono na odmianę goryla, przewyższającego wszystkie dotychczas znane wzrostem siłą ale i złośliwością. Krajowcy polują na nią zapamiętale, ale jest to połączone z trudnościami i niebezpieczeństwem. Gęste uwłosienie jest dla goryla najpewniejszym pancerzem ochronnym przed kulami prześladowców, biada natomiast myśliwemu jeżeli się dostanie w ich „ręce".

Niedawno udało się załodze fortu Bambio schwytać jeden egzemplarz. Na wysokość mierzy dwa metry, ośmdziesiąt cm., waży zaś „tylko" 283 kgr, to jest mniej więcej tyle, ile czterech mężczyzn dorosłych, o średniej, przedwojennej tuszy razem wziętych.

Radość krajowców z powodu tego połowu była tak wielka, iż urządzono pochód tryumfalny przy dźwięku *tam*-*tam'ów* i wśród radosnych okrzyków.

Nie cieszono się tak nawet wtedy, gdy Niemcy „opuszczali" Kamerun.



Małpa czy dziki człowiek: Kolosalny okaz goryla, około 3 m. wysokości, schwytanego przez załogę fortu Bambio w Kamerunie.



Powrót króla Konstantyna do Grecyi: Rodzina królewska przed opuszczeniem Lucerny. Na pierwszym planie królowa z księżniczką Katarayną za niemi król Konstantyn, książę Paweł, księżniczki Helena i Irena.

Od Redakcyi.

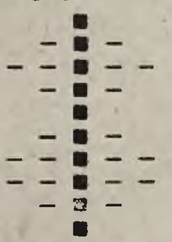
Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył X. Y., Sambor.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko współczesnego głośnego polskiego jenerała:



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Stan podobny do śmierci, 3. Miasto w Czechach, 4. Rzeka w Afryce, 5. Spółgłoska, 6. Ptak śpiewający, 7. Przyrząd sportowy, 8. Polski pamiętnikarz, 9. Część ciała, 10. Samogłoska.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. T., Krzeszowice.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego poety:

— uma
— dzi
— pir
— ara
— yna
— zaw
— aza
— gor
— ela
— oła

Okienko.

Ułożył A. S., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a a a a a
e e e
l l m m n
r r s
s t t u u

Znaczenie wyrazów: 1. Wyspa na morzu Śródziemnem, 2. Skład lub śpichlerz, 3. Pierwiastek.

Kwadrat magiczny.

Ułożył A. S., Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a, a, a, a,
g, i, i, l,
l, l, m, o,
o, r, r, r.

Znaczenie wyrazów: 1. Miara odległości, 2. Imię starosłowiańskie, 3. Wóz kolejowy, 4. Jezioro w Azyi.

Kwadrat magiczny.

Ułożył N. N., Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego ministra:

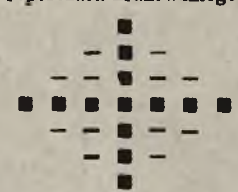


Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Polsce, 2. Miasto na Litwie, 3. Bóg starożytnych Germánów, 4. Roślina, 5. Bogini rzymska.

Kryształówka.

Ułożył Z. W., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy poda tytuł nowości z repertuaru krakowskiego Teatru miejskiego.

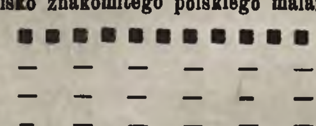


Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska, 2. Okres czasu, 3. Miasto w Czechach, 4. Szukany wyraz, 5. Imię męskie, 6. Rzeka w Rosyi, 7. Samogłoska.

Grzebieniówka.

Ułożył T. T., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwisko znakomitego polskiego malarza:



Znaczenie wyrazów: 1. Dopływ Wisły, 2. Postać biblijna, 3. Wyżyna w Azyi, 4. Miasto w Węgrzech, 5. Litera grecka, 6. Imię starosłowiańskie.

Zgłoskówka.

Ułożył X. Y., Warszawa.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich trzy, popularne w styczniu imiona:

Kassandra, koper, Karmel, Kochinchina, przeor, Balladyna, kotara, Swetozar.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył H. B., Wieliczka.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, c, d, e, l, l, o, o, p, r, w, w, y, z.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) H. Sienkiewicza: „W pustyni i w puszczy“ (powieść), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 52.

Logogryf: W, bez, Pasek, Brody, Ełk, bryka, Wacek, Ohm, Kąśna, rower, Nil, pląsy, Łotwa.

Okienko: Wilia, legat, antyk.

Zadanie do uzupełnienia: A Słowo Ciałem się stało, i mieszkało między nami.

Rebus:
Nie trzeba tracić nadziei,
Choć zima macocha nas smuci,
Bo znów słoneczko zaświeci
I wiosna — życie powróci.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: S. Sokołowski Kraków, K. Dębicki Sambor, M. Woźniakowski Warszawa, M. Kozłowski Sambor, J. Kalinowski Poznań, W. Raczyński Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, M. Mańkowska Warszawa, K. Borkowski Kraków, W. Śmiszkiewicz Milówka, M. Sochacka Kraków, K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło. J. Martynowicz Kielce, J. Jagodziński Nowy Sącz, J. Walicki Poznań, R. Cielicka Łódź, J. Polek Lwów, S. Nowacki Lwów, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Samocka Stanisławów, W. Witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, Winnica, H. Malinowska Rzeczyce, W. Dutkiewicz Przemyśl, J. Jabłoński Lublin, J. Weber Kraków, S Sygowska Rzeszów, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, J. Jaworski Lwów, S. Balicki Radom, K. Wacławik Łódź, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło, J. Martynowicz Lwów, H. Galińska Tarnów, M. Bodziński Kraków, M. Wacyk Lwów, M. Weryński Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków, S. Zajączkowski Rzeszów, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski S. Lesicki Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Gross Tarnów S. Karwowski Poznań.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) M. Woźniakowska Warszawa (książka), 2) S. Balicki Radom (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.